

Fragmenty książki „Kamienny sufit. Opowieść o pierwszych taterniczkach” Anny Król

Fragment rozdziału

Wanda Herse: 1885–1954

Sierpień 1902 roku był dla taterniczek przełomowy. Dwudziestego pierwszego sierpnia siedemnastoletnia warszawianka Wanda Herse staje na Durnym Szczycie, wierzchołku wznoszącym się na 2632 metry n.p.m., czwartym pod względem wysokości w tej partii gór. Masyw Durnego Szczytu należy do najbardziej skomplikowanych orientacyjnie miejsc w Tatrach, przez co w razie załamania pogody wycofanie się i powrót na niziny bywa trudny.

Dwa dni później Wanda wraz z przewodnikiem Klimkiem Bachledą wspinają się na Pośrednią Grań, kolejny najwyższy, mierzący 2441 metrów n.p.m., szczyt w bocznej grani Tatr. Podobnie jak w przypadku Durnego Szczytu, także na Pośrednią Grań nie prowadzi dziś żaden szlak turystyczny. Dwudziestego piątego sierpnia wspina się na Kończystą, nieco łatwiejszy dwuwierzchołkowy szczyt, położony w południowej części bocznej grani Tatr Wysokich, odchodzący od Zmarłego Szczytu. W dodatku jeszcze tego samego dnia staje na szczycie Ganku. Ta trójwierzchołkowa grań do dziś należy do bardzo trudnych do zdobycia. Jej ściany opadają pionowymi stromiznami w dół, w stronę dolin. Zaledwie kilka lat wcześniej szczyt uważany był za niedostępny. Na Ganek, także w towarzystwie przewodnika, próbował bez powodzenia wspiąć się Leopold Świerż, jeden z najlepszych taterników swojego pokolenia.

Pierwszymi zdobywcami Ganku, w sierpniu 1895 roku, byli górale, późniejsi przewodnicy Wandy Herse – Klemens Bachleda i pełniący funkcję tragarza Józef Gąsienica z Bystrego. Dopiero w roku 1906, cztery lata po Wandzie Herse, taternicy Zygmunt Klemensiewicz i Jerzy Maślanka weszli na Ganek samodzielnie, bez pomocy przewodników – jako pierwsi w historii polskiej wspinaczki wysokogórskiej.

Wanda Herse sezon 1902 roku kończy na Mięguszowieckim Szczycie. Najłatwiejsza droga na wierzchołek, którą prawdopodobnie prowadził Wandę Klimek Bachleda, ciągnie się z Doliny Hińczowej. Najpierw należy obejść Wielki Staw Hińczowy, stamtąd rozpoczynał się zlikwidowany w latach siedemdziesiątych XX wieku szlak na Mięguszowiecką Przełęcz pod Chłopkiem. Dalej idzie się mniej wygodnie, piarżyskiem i niewielkimi rynnami, w stronę Mięguszowieckiej Przełęczy Wyżniej. Potem to dojście łączy się z Drogą po Głazach. Osiem lat później na Mięguszowiecki Szczyt wspięła się inna kobieta – należąca do tego samego pokolenia wspinaczek co Herse – Jadwiga Roguska. Trasa, którą przeszła z braćmi Gyulą i Romanem Komarnickimi, biegnąca od zachodniej strony długą rynną, nazwana została Drogą Komarnickich.

W tym samym roku Wanda Herse, mająca spore doświadczenie turystyczne, coraz sprawniej porusza się w Tatrach. Zaczyna posługiwać się liną, coraz lepiej orientuje się wśród tatrzańskich grani. Docenia to komisja Towarzystwa Tatrzańskiego, wpisując ją, jako piątą w historii kobietę, w poczet członków Sekcji Turystycznej.

Odtąd wszystkie taterniczki jej pokolenia będą porównywane do Herse.

Fragment rozdziału

Helena Dłuska (1892–1921)

i Irena Pawlewska-Szydłowska (1892–1982)

Myślę o Helenie Dłuskiej i Irenie Pawlewskiej, które ponad sto lat temu szły tą samą drogą. Dwie nastolatki zafascynowane pięknem gór wspinały się pewnie, bez obaw o własne młode życie. Bez troski i odważnie. Chwilę później wychodzę na niewielkie trawiaste wypłaszczenie, potem jeszcze krótki spacer między poszarpanymi, sięgającymi pasa kamieniami, i już – szczyt. Wreszcie tylko zachwyty. I radość, jaką czuję nieodmiennie, osiągając wierzchołek.

I nie ma znaczenia, czy wchodzi się na niego w miarę łatwo, jak na ten tutaj, czy wspinaczka wymaga trudu i budzi obawy. Zachwyty tym przepięknym wczesnojesiennym porankiem, ciszą i spokojem. I

widokiem. Bo ze Szczyrbskiego Szczytu widok jest naprawdę niezwykły. Otaczające go granie nie są tak wysokie i srogie jak w okolicy Morskiego Oka lub Stawu Gąsienicowego. Tu krajobraz jest spokojniejszy. Szczyty jakby uśpione, nie w chmurach, ale w letnim jeszcze słońcu. Falujące, delikatnie schodzące w dół, w dolinę.

W 1908 roku młode zdobywczynie Szczyrbskiego Szczytu miały przed sobą cały świat – widziany z wysoka, i życie, w którym tyle miało się zdarzyć. Żadna z nich nie przeczuwała, że będzie ono dużo trudniejsze niż ta wspinaczka.

Fragment rozdziału Wanda Jeromin: 1888–1944

Próbuję się o niej dowiedzieć czegoś więcej. Wycieczki do archiwów i na cmentarz ewangelicko-augsburski w Warszawie, gdzie spoczywa rodzina Wandy, nie wnoszą wiele. Oglądam jej nieliczne fotografie, na których raz wygląda jak żadna przygód chłopczyca, raz jak niewinna, romantyczna dziewczyna. W góralskim kubraku, koszuli z bufiastymi rękawami, wykończonych wiązanych pod szyją kokardą i długiej spódnicy, uśmiecha się zalotnie do obiektywu. Jaka byłaś, Wando?

Szukam jej śladów w pismach tatrzańskich i zachowanych listach. W desperacji sięgam do horoskopów i astrologii. Sprawdzam datę i miejsce urodzenia. Jeśli nasze losy są zapisane w gwiazdach, a każdy przypadek to tylko realizowane po kawałku przeznaczenie, to może i tam trzeba szukać wiedzy o Wandzie: imię Wanda ma liczbę osiem, która w numerologii oznacza życie trudne i pełne poświęceń, ale również zdolność do regeneracji, odrodzenia i zaczynania wszystkiego od nowa. [...] Nieobce są też im romantyczne tęsknoty i wrażliwość na piękno. Często świadomie rozwijają swoje artystyczne talenty.

Przypominam sobie rozmowę z jej stryjeczną prawnuczką, która zapamiętała, że bratanica Wandy Jeromin, córka Mieczysława, z Powstania Warszawskiego wyszła z jedną srebrną łyżeczką. Nie ocalały żadne dokumenty, rodzina nie ma żadnej fotografii słynnej Jerominki. Po wojnie jej bliscy nie chcieli nigdy więcej wracać do Warszawy. Zamieszkali na Śląsku. Tam urywa się ślad po rodzinie Wandy Jeromin.

Podobny cel ma wspinaczka śladem Wandy Jeromin na wierzchołek Szatana – najwyższego szczytu Grani Baszt. Podjęta po to, by zbliżyć się do tej niezwykłej dziewczyny. Poczuć się jak ona, zrozumieć jej zapał i chęć zdobywania kolejnych szczytów.

Wspinaczka na Szatana nie tyle pozwala mi lepiej poznać Wandę, ile uświadamia, jak wiele zmieniło się od roku 1906. Nie w Tatrach – te są niezmiennie, poważne, trochę groźne i wciąż przyciągające. Jak wiele zmieniło się w naszym postrzeganiu trudności w górach. Sto piętnaście lat temu Wanda Jeromin i Mariusz Zaruski uznali wycieczkę na Przełęcz nad Czerwonym Żlebem, i dalej wejście na wierzchołek Szatana, za doświadczenie skrajnie trudne, a nawet grożące śmiercią. Dziś wyprawa na Szatana bardziej przypomina mi wycieczkę górską, jaką odbywa się dla relaksu – by popatrzeć na szczyty i odpocząć. To prawda, że można ją podjąć na różne sposoby – ten przez Grań Baszt i trawers wszystkich jej grani jest dużo bardziej skomplikowany, ale nadal to raczej wycieczka typu graniowego niż wymagająca wspinaczka.

Fragment rozdziału Jadwiga Honowska (1904–1928) i Zofia Krówska (1903–1928)

Była emancypanką. Przynajmniej za taką się uważała. Już w 1908 roku należała do całkowicie zmaskulinizowanej świeżo utworzonej Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Wiele rzeczy zrobiła w życiu jako pierwsza kobieta: wytyczyła wiele nowych dróg w Tatrach, nosiła w górach

spodnie, w czasach gdy jej koleżanki zastanawiały się, czy na pewno wypada udać się na spacer nad Staw Gąsienicowy bez kapelusza i parasolki.

W 1929 roku ma dopiero czterdzieści dwa lata. Niedawno sama jeszcze wspinała się na Mięgusza, Kieżmarski Szczyt i Ganek. Kiedy w październiku tegoż roku Polskę obiegła wieść o tragedii, do której doszło na Zamarłej Turni, w której śmierć poniosły dwie młodziutkie taterniczki – osiemnastoletnia Marzena i szesnastoletnia Lida Skotnicówny – Roguska staje po stronie mężczyzn. W jednym z październikowych numerów tygodnika „Zakopane” publikuje odezwę pod tytułem *Do młodych taterniczek*:

Drogie Koleżanki! Zwracam się do Was tem poufałym imieniem, bo wszak my wszystkie kobiety i młode dziewczęta uprawiające sport taternicki jesteśmy związane jednym zapałem chodzenia po górach, jedną namiętnością wpinania się tam, gdzie nas czarują wspaniałe widoki, gdzie nas upaja cudowny świat dzikiej przyrody, gdzie czyha na nas niebezpieczeństwo i piętrzą się przed nami trudności. [...] Przyznam się Wam szczerze, że chodzę po górach od lat dwudziestu kilku, że przeszedłam różne fazy taternictwa [...] mogę więc teraz krytycznie rozważać stosunek kobiet do taternictwa.

I dalej w swoim manifestie pisze: Zastanówmy się nad tym, że technika kletterki [wspinaczki], prócz znajomości rzeczy i doświadczenia, polega w dużej mierze na przyrodzonych warunkach wspinacza. Czyż kobieta może dorównać muskułom mężczyzny bez zatracenia charakteru swej sylwetki, czy wzrost kobiety wysokiej nie jest u mężczyzny tylko średnim, a niskiej – karłowatym? Czyż kobieta jak najlepiej zbudowana, w myśl nowoczesnego wychowania fizycznego wyćwiczona, może dorównać sile i mierze sportowca, obdarzonego doskonałymi warunkami? Nie. [...] Wspinactwo, ten najtrudniejszy ze sportów, wymaga bezwzględnie uzupełnienia sił kobiecych siłami mężczyzny. A skoro mężczyzna i kobieta dopełniają się wzajemnie doskonale, tak pod względem psychiki, jak i warunków fizycznych, to dlaczegoż kusić się koniecznie o laur sławy taternickiej pod hasłem „my same”? Dlaczegoż schlebiać tak ciasnej ambicji za cenę wszystkiego, co się posiada, bo wszystko zamknięte jest w słowie „życie”.

Dzieje się to w czasie, gdy Zakopane żyje tragedią Skotnicównien, taternicy pogrążają się w żałobie, a media demonizują temat, pisząc o lekkomyślności płci pięknej. Dla młodych taterniczek, które były adresatkami tekstu, medialne wystąpienie Roguskiej brzmi jak zdrada. Jak kobieta, która była symbolem kobiecego taternictwa, która osiągnęła tak wiele w górach, może publicznie wątpić w taternicką samodzielność dziewczyn, pytały. Młodzież, która życie oddałaby za czas spędzany w Tatrach, nigdy jej nie wybaczyła.

Fragment rozdziału

Zofia Radwańska-Paryska: 1901–2001

Lubiła być pierwsza. W 1945 roku zdaje wymagający sprawności i dużej wiedzy, a także umiejętności taternickich, medycznych i narciarskich egzamin na ratownika TOPR-u. Jest pierwszą kobietą z tatrzańską blachą ratowniczą w Polsce.

Złośliwi mówią, że kolekcjonowała tytuły i funkcje, a w pogotowiu faktycznie nie pracowała. Rzeczywiście, nie była członkiem żadnej ratowniczej ekspedycji. Jeśli już pojawiała się w Dworcu Tatrzańskim na Krupówkach, to po to, żeby podczas TOPR-owskich dyżurów odbierać zgłoszenia od poszkodowanych.

W 1948 roku Zosia jeszcze raz robi coś po raz pierwszy. Tuż przed swoimi pięćdziesiątymi urodzinami zdaje egzamin państwowy na przewodniczkę tatrzańską klasy II. Dwa lata później ponownie zdaje egzamin unifikacyjny i od tej pory jest kwalifikowanym przewodnikiem wysokogórskim klasy I – jako pierwsza kobieta w Polsce i na świecie. Nie dość, że jest pochodzącą z Warszawy ceperką, bez góralskich korzeni, to jeszcze kobietą! Pierwszą wśród przewodnickiej góralskiej elity. Wielu rdzennym zakopiańczykom się to nie podoba. A jednak po kilku latach aktywnej przewodnickiej działalności akceptują Zofię, a potem traktują jak swoją. Wielu najlepszych przewodników i instruktorów działających w Tatrach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przeszło szkolenia u Zofii

Radwańskiej, która od 1948 roku była starszym instruktorem taternictwa, a od 1950 starszym instruktorem przewodnictwa tatrzańskiego.

Zostawiła po sobie góry notatek. Od lat zapisywała wspomnienia i przeżycia górskie. Oprócz tego kilka tysięcy artykułów, wykładów i odczytów. Lubiła pisać ręcznie. Prowadziła notatki naukowe, opisywała i katalogowała rośliny, spisywała biografie ludzi gór, układała programy taternickich szkoleń.

Jest także autorką kilkunastu opowiadań zebranych w tomie *Mozaika tatrzańska*. Nigdzie indziej nie ma chyba bardziej dosłownego dowodu na to, że w Tatrach była z wzajemnością zakochana: O chwilo, któraś mnie nauczyła nie cofać się przed zamierzeniami, napoiła niezmierną słodyczą osiągnięcia i dała pierwsze wejście w głąb i wszere! Śmiałaś się do mnie bezkresną panoramą szczytów i dolin tatrzańskich skąpanych w słońcu; ukazałaś mi cuda górskiego świata turni; zdawałaś się szeptać: Chciej tylko mocno, mocno, najmocniej – a poznasz to wszystko. Zwiążesz się z tym na zawsze, doznasz najwspanialszych przeżyć i uniesień, staniesz się nieledwie częścią tego świata!

Fragment rozdziału

Marzena Skotnicówna (1911–1929)

i Lidia Skotnicówna (1913–1929)

Betlejemka

Inni tylko na mnie patrzyli. Jakby widok dziewczyny wchodzącej do ich męskiej jaskini był dla nich nie do przyjęcia. Rzuciłam rzeczy na łóżko, zaczęłam się rozpakowywać. Wokół było tak samo nieporządknie jak zawsze. Na wspólnym stole pod oknem leżały pozostawione po posiłkach resztki, na sznurku nad stołem suszyła się bielizna i ręczniki, przy łóżkach duże plastikowe kosze służące za podręczne szafki. Pod nimi, na podłodze, pojedyncze porzucone skarpetki i klapki. Gdzieś w kącie ktoś upchnął niezbyt czysty T-shirt i szorty. Na wszystkich poręczach liny, kaski i reszta wspinaczkowego szeptu. Widok, który jest jak DNA Betlejemki, coś tak oczywistego, że nawet się go nie rejestruje. Rozejrzałam się wokół, zdziwiona narastającą ciszą. Wreszcie jeden z chłopaków zeskokczył ze swojego piętrowego łóżka, odchrząknął i powiedział cicho w przestrzeń:

– To może tu trochę przewietrzimy?

Podszedł do okna, otworzył je na oścież, zbierając dyskretnie po drodze porozrzucane części garderoby i slipy wiszące nad stołem. Inni też zaczęli ogarniać otaczający ich nieład.

– Dzięki – powiedziałam w tę samą przestrzeń i uśmiechnęłam się do siebie.

Męska dominacja w Betlejemce została nieoczekiwanie przerwana.

Mam z tamtego czasu spędzanego z kolegami w Betlejemce jeszcze masę wspomnień, w których moja kobiecość niespodziewanie stawała się tematem ważniejszym, niż mogłabym się spodziewać. A także takich zwyczajnych – związanych z codziennym bytowaniem w tych skromnych warunkach. Wiele z nich uświadamiało mi dzień po dniu, jak często moje podejście do rzeczywistości gór było różne od perspektywy spotykanych w Tatrach mężczyzn. Kiedy na przykład jedliśmy śniadanie, a oni przykładali ogromną wagę do kaloryczności posiłków – „żeby mieć siłę się wspinać”. Albo wtedy gdy bronili się, by pomimo ewidentnej różnicy gabarytów nie nieść w plecaku więcej, niż miałam ja – „żeby oszczędzić energię”.

Wreszcie, kiedy ja marnowałam czas na wycieczki do Murowańca w poszukiwaniu intymności i ciepłej wody, a oni, poza lodowatym prysznicem, nie dbali o nadmierną toaletę – „żeby mieć czas na sen”.

Takie rzeczy uświadamiają, że tam, w Tatrach, nie jestem kobietą, tylko, podobnie jak oni – moi koledzy – tatarniczką. Że to nie miejsce na sentymenty, że każdy musi dbać o siebie i wszyscy mamy równe prawa. „Skoro już musisz pchać się między tatarników – to lepiej noś spodnie”, powiedział mi kiedyś znajomy instruktor, znany ze specyficznego poczucia humoru. No to noszę.

Równość w czystej, pierwotnej postaci. Bez upiększeń i taryfy ulgowej.

Tymczasem jeszcze pięćdziesiąt lat temu, w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku, Jan Alfred Szczepański, redaktor naczelny „Taternika” i dawny partner wspinaczkowy Jadwigi Honowskiej i Zofii Krókwskiej, przypomniał, że początki uprawiania taternictwa przez kobiety polskie były ostrożne i hamowane.

Pierwsze rwące się w głąb gór panie musiały kryć się ze swą pasją, którą uważano za nieprzyzwoite łamanie obyczajowych tabu. Dopiero początek wieku przyniósł zasadniczą zmianę. Mówiło się, że obok dekadencji pojawił się zupełnie niespodziewanie nie tylko ruch ku wyzwoleniu spod ciasnych mieszczańskich ograniczeń, ale i sport kobiecy – poboczny objaw pragnienia wolności. Pierwsze dziewczyny, które pojawiły się w Tatrach, miały już znacznie większe ambicje niż ich koleżanki dwadzieścia lat wcześniej, ale one również – przyzwyczajone do bierności w cieniu męskich sukcesów – poruszały się po górskich graniach ostrożnie i często niesamodzielnie. To nie brak sił – mięśni i psychiki – kazał im stać o krok za kolegami. To brak przekonania, że kobiety mogą nie tylko marzyć, ale i marzenia te realizować. Dlatego doskonałe tatarniczki, jakimi były wówczas Wanda Jeromin i Jadwiga Roguska-Cybulska, chodziły w góry wyłącznie w męskim towarzystwie.